

W dzień wigilijny.

OBRAZEK.



Co za wspaniałych dwóch chłopiąt ma moja siostra—to, powiadam państwu, palce lizać. Jeden ma lat sześć, drugi ośm. Pyszczki okragłe, pulchne, rumiane; ślepki roztropne, włosy jak u aniołków rembrantowskich koroną jasnych pierścieni okalają czoło. Młodszy już czyta, starszy został uczniem wstępnej klasy.

A kochają swego wujaszka, oj! kochają!

Dzień wigilijny zawsze nastraja mnie świątecznie, dzisiaj jednak czułem się, no, doprawdy, jakbym drugi raz na świat się urodził.

Pogoda prześliczna; przed oczyma pomnik naszego wieszcza, przypadający mi pod każdym względem do gustu; uroczyste zachowanie się publiczności tłumnie spacerującej po Krakowskiem Przedmieściu — wszystko to bardzo dodatnio wpłynęło na mój humor.

O godzinie drugiej wpadam jak bomba do siostry.

— Zochno — jeść! — krzyczę.

— Jest śledź — słyszę skromną odpowiedź.

— A więcej?

— Poczekaj do piątej.

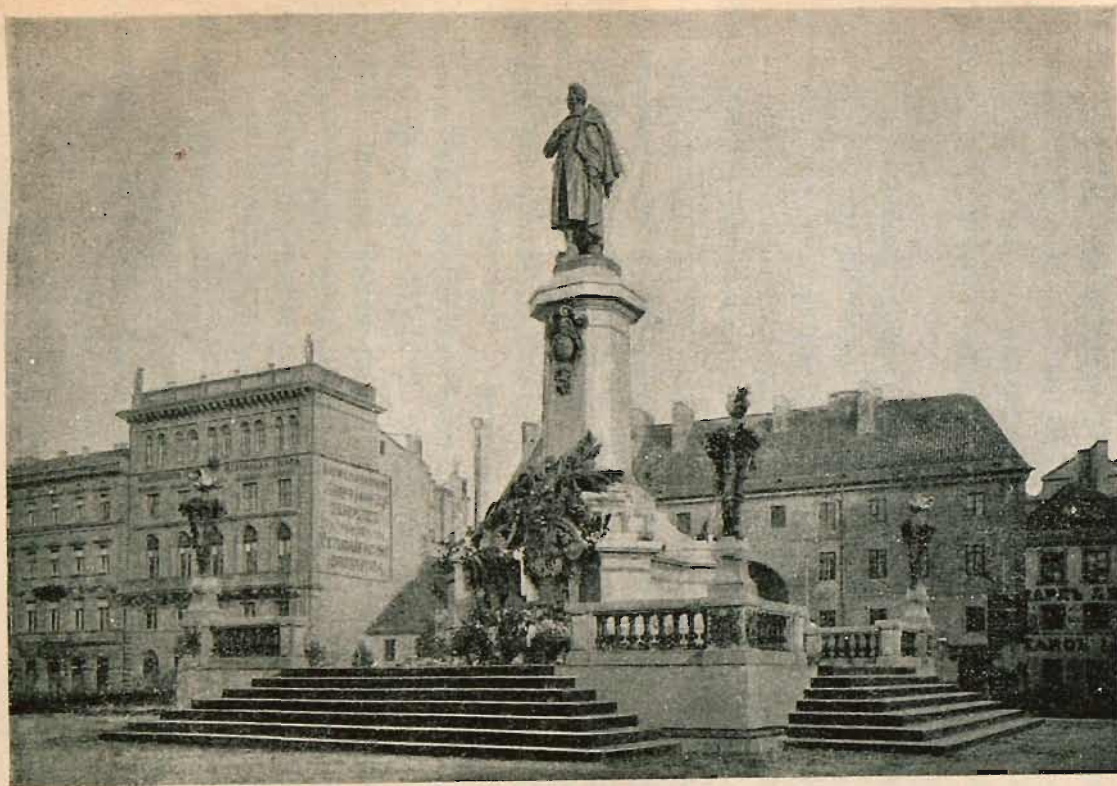
— Kobieto, ależ twój brat rodzony! — wołam nawpół żartem, nawpół serjo — z głodu przez te trzy godziny umrze. Śledzia nie znoszę, wreszcie cóż ja tu robić będę?

— Możesz mi mak utrzyć — powiada siostra z najpoważniejszą miną.

Ja i mak?! — impertynencja — daję słowo. Już chciałem się obrazić, ale na szczęście gosposi do pokoju wbiegły w podskokach moje kochane chłopaki.

— Wujaszku! wujaszku! wujaszku! Przynajmniej w ciągu paru minut ten wyraz rozbrzmiewał we wszystkich kątach.

Młodszy usadowił się na moich kolanach i zaczął szczebiotać swoim dźwięcznym sopranikiem.



Pomnik.

— A cy wujasek psyniósł tego łyceza z ostłogami, a konia tyz, a bacik tyz? A cy wujasek da Mundziowi sksypce, a trąbkę da?

Zarzucił mi przytem bąk łapiny na szyję, zaczął całować po twarzy i po każdej pieszczocie zapytywał z przymileniem:

— Da wujasek la Mundzia, da?

— Wszystko macie w przedpokoju w pudle—powiedziałem w końcu, zwracając się do obu chłopców, nadużywszy porządnie ich cierpliwości.

Starszy pozbył się chwilowej powagi: zapomniał o błyszczących guzikach munduru, który ku uczczeniu uroczystości wigilijnej pozwolono mu po raz pierwszy włożyć, chwycił brata za rękę i pędem obaj wybiegli po swoje skarby.

Radość kochanych malców nie miała granic; doszło jednak do kulminacyjnego punktu, gdy chłopcom wręczyłem po trzydzieści kopiejek na «kremowe ciastka.» Wobec ciastek kremowych «łycerz» poszedł w ką, «ostrogę» — precz. Nawet książeczki z obrazkami straciły swoją wartość. Marcinowej, starej piastunce, kazali się natychmiast ubierać i za chwil parę szybkim krokiem biegli do Clotena po słodycze.

Całą godzinę czekaliśmy na powrót dzieci. Siostra, jak każde pocziwe matczyisko, zaczynała się niepokoić. Ja ją uspakajałem jak mogłem i umiałem, ale, prawdę muszę wyznać, czułem pewną obawę. Rzeczywiście nie trzeba było puszczać dzieciaków samych. Choć starszy już przywykł do tego, mogło się jednak trafić wobec zwiększonego ruchu, jakie nieszczęście.

Obawy nasze były płonne. Gdy, naglony przez Zochnę, wybierałem się na poszukiwania, chłopcy powrócili.

Minki poważne, spokój z jakim wchodzili, cisza zachowywana przy rozbieraniu się—zastanowiły mnie odrazu.—

— Oho!—pomyślałem—coś się stało...

— Gdzież ciastka?—pytam Mundzia, głaszcząc go po jasnej głowie.

Łypnął na mnie ślepkami z pewną bojaźnią i utkwiał wzrok w ziemię.

— No, gdzie ciastka?— powtórzyłem pytanie. Chłopczyna, jakby z prośbą o pomoc, spojrzał na brata, który też minę przybrał winowajcy i stał wpatrzony w podłogę.

— Dlaczego nic nie odpowiadacie?— zagadnąłem poważniej.

Snać dźwięk mego głosu wydał się Mundziowi groźbą. Ścisnął nieborak piąstki; usteczka różowe zaczęły drżeć, palce starał się wtłoczyć wżalawione oczy i w końcu nadobre się rozplakał.

Chwyciłem go na ręce i zacząłem całować.

— Czemuż ty, pieszczochu, płaczesz?— rzekłem, śmiejąc się, czemu? No, cóż, powiedz — zgubiliście pieniądze, co?

— Nie— odpowiedział, — zachlipując się.

— Może ciastka przepadły po drodze?

— Nie...

— Więc?

Za całą odpowiedź Mundek schował twarzyczkę w fałdy mego surduta, a usta jego spoczęły na mym ręku.

I jak tu się gniewać?

Bądźcobądź epopeja ciastkowa zaczynała mnie interesować. zwracam się do starszego.

— Zygmysiu—mówię—jesteś starszy, powiedz, co się stało z owemi ciastkami?

Chłopiec spojrzał na mnie. Uśmiechnięta twarz moja dobrze go widzieć usposobiła; minę przybrał pogodniejszą i rzekł:

— Ciastek, proszę wujaszka, nie kupiliśmy.

— Tak?

— A tak...

— Więc cóż dalej?

— A wujek nie będzie się gniewał na nas?— spytał chłopak cicho.

— Nie, moje dziecko: przecież nie złego nie popełniliście chyba,— słucham...

— Ja i Mundzio, proszę wujaszka, przechodziliśmy koło pomnika tego pana, który takie ładne wiersze pisał...

Płowągłówka Mundzia wysunęła się lekliwie z pod fałd surduta.

— Co, już nie płaczesz?— pytam.

— Płose wujaska, ja umiem cteły wielse—słyszę zamiast odpowiedzi—Małcinowa mnie nauczyła.

Zsunął się pieszczocho z kolan i zaczął recytować:

„Pójdźcie o dziatki, pójdźcie wszyskie łazem

„Za miasto, pod słup na wzgólek:

„Tam przed cudownym klękniście obłazem,

„Pobożnie zmówcie paciolek.“

Złożył przytem łapiny jak do modlitwy i ślepki zaczerwienione wzniośł do góry... Daję wam słowo — aniołek.

Po skończeniu zwrotki powiada:

— Małcinowa nauczy więcej Mundzia, naucy...

A wi wujasek ile tam było fiatków...

Takie małe panienki zucały i takie duże jak wujasek, tyz...

— A jaki wieniec, proszę wuja, był duży, ojej! — odzywa się Zygmus.

— Wie wujasek — mówi Mundek — myśmy chodzili z Zygmusiem tam aż na górę po takich całnych schodach, aha!

— Bardzo to wszystko pięknie, lecz jeszcze mi nie o ciastkach nie mówicie, przerwałem. Że znoszono kwiaty, wszyscy o tem wiemy.

— Ciastek jeść już nie będziemy, proszę wuja — rzekł po pewnym na yśle Zygmus, bo... — zająknął się — jeżeli takie małe chłopczyki i dziewczynki nosiły kwiatki, to i my z Mundziem kupiliśmy doniczkę z takiego dużego sklepu. Nie chciał nam ten pan dać żadnej, ale, proszę wuja, jak się dowiedział, że to dla pana, co wiersze pisze—wybrał najładniejszą i dał.

W miarę opowiadania czułem ciepło, spływające do serca.

— I dał—kończył Zygmunt.—My z Mundziem zanieśliśmy pod pomnik.

— I postawiliśmy — rzekł młodszy—ten fiatek na całym kamieniu, tak, płose wuja — kiwnął poważnie główką—i zdjąłem capkę, tak.

— Wuj się nie gniewa? — zagadnął Zygmus.

W odpowiedzi chwyciłem malców w objęcia.

O moje pędraki! jak was tu nie kochać! jak nie kochać!!

Henryk Władysław Kondratowicz.

PRZYJACIELE I TOWARZYSZE LAT MŁODZIEŃCZYCH
Adama Mickiewicza.



Tomasz Zan.



Ignacy Domejko.



Ant. Edward Odyniec.



Jan Czeczot.